

Zbigniew Jan Waydyk

ul. Ukońska 7 m 19.

БИАЛЪСТОН

I/858

© ARCHIWUM WSCHODNIE

nazywam się Zbigniew Jan Waydyk. Urodziłem się 20-go listopada 1924-go roku w Swisłoczy, przed wojną powiat Wołkowysk, woj. białostockie.

Rodzice moi: Józef Bogdan Waydyk przed samą wojną był oficerem policji państwowej, podkomisarzem PP. Matka moja - Zofia z Korwin Szumowskich Waydyk - była nauczycielką.

Miałem jedną siostrę, która żyje do dziś, mieszka we Wrocławiu, urodzona w roku 1927-mym.

Przed wojną ukończyłem trzy klasy gimnazjum klasycznego nowego typu we Lwowie. Było to trzecie gimnazjum im. króla Stefana Batorego. Budynek tegoż gimnazjum mieścił się przy ulicy króla Stefana Batorego róg Kubali. Między innymi moim kolegą szkolnym przez trzy lata był znany reżyser filmowy - Adam Hanuszkiewicz.

Miałem też dobrych i znanych profesorów. Jeśli chodzi o profesora łaciny, to wybitny łacinnik mnie uczył - Marian Golias, który wspólnie z profesorem Smereką wydawał książki. Były to wydawane przed wojną podręczniki do nauki łaciny.

Przed samą wojną mieszkałem we Lwowie, dokładnie od roku 1936-go. Wcześniej mieszkałem w Warszawie. Szkołę podstawową, zwaną wówczas powszechną, skończyłem właśnie w Warszawie w 1936-tym. I zaraz po wakacjach - ponieważ ojciec został służbowo przeniesiony do Lwowa - wyjechaliśmy do tego miasta.

22-go drugiego września 1939-go roku, w piątek, do Lwowa wkroczyła Armia Czerwona / jeszcze wówczas tak się nazywała, dopiero później przemianowana na Armię Sowiecką/. To nastąpiło dopiero po wojnie.

22-go czerwca 1941-go roku wybuchła wojna niemiecko - sowiec-

ka, a Niemcy wkroczyli do Lwowa w poniedziałek, trzydziestego czerwca.

Potem, po jednej czarnej nocy okupacyjnej nastąpiła druga czarna noc okupacji, tym razem niemieckiej. Ja początkowo chodziłem do szkoły, tzw. szkoły leśnej wyższego stopnia. Wtedy Niemcy pozwalali tylko na takie szkoły, zawodowe. Jednakże ze względów konspiracyjnych musiałem tę szkołę opuścić.

Wcześniej, w czasie okupacji sowieckiej uczyłem się i skończyłem dziewiątą klasę szkoły radzieckiej. Został mi jeszcze jeden rok do matury. Maturą radziecką. Teraz nastąpiła dłuższa przerwa w nauce.

W czasie okupacji niemieckiej, dokładnie od roku 1943-go należałem do Armii Krajowej. Należałem do Piątej Dywizji Armii Krajowej walczącej w Małopolsce Wschodniej a również i Wołynia. Niezależnie od tego, że byłem w Armii Krajowej, byłem też oddelegowany - ponieważ znałem świetnie język ukraiński - byłem członkiem komisji do badania zbrodni nacjonalistów ukraińskich na terenie Lwowa. Byłem też jednym ze współredaktorów Biuletynu Ziemi Czerwieńskiej. Biuletyn był oczywiście wydawany w konspiracji. Pisałem wiersze. W ogóle cały czas pisałem wiersze. Zajmowałem się literaturą. Jednak te moje ambicje literackie zostały brutalnie przerwane w roku 1945-tym.

Wówczas już nie byłem we Lwowie. Ze Lwowa zrobiłem rejteradę i zostałem aresztowany siedemnastego marca 1945-go roku /sobota/. W tym czasie trwała jak najbardziej wojna. Zostałem aresztowany przez słynną kontrrazwiedkę "Smersz" czyli kontrwywiad "Smersz" od "śmierć szpiegom". Była to pałkawa kontrrazwiedka pięćdziesiątej drugiej armii czwartego frontu ukraińskiego generała armii Pietrowa. Przetrzymano mnie w piwnicach. Znajdowałem się w piwnicach czeskich, słowackich i polskich. Bowiem

śledztwo trwało równocześnie z działaniami bojowymi i tak, jak się przesuwał front. Były i takie momenty jak na przykład w Podczerwoniu Koło Nowego Targu, że byliśmy uwięzieni prawie w strefie bojowej. W każdej chwili mogli nas ewakuować i zabić. Mogła nastąpić egzekucja. Było słycać strzały armatnie zupełnie niedaleko. W pewnym momencie było nawet wtargnięcie armii niemieckiej, która weszła takim klinem. Ale Niemcy nie zdołali już nic zrobić.

W śledztwie byłem od siedemnastego marca. Opowiem teraz moją krótką drogę. Rabka - Nowy Targ - Poczerwonie - Kobiern na Słowacji. Jedną noc spędziłem w słynnym więzieniu Montelupich w Krakowie. Ale tylko jedną noc. I co dziwne i straszne: bo jeszcze na ścianach były bryzgó krwi po znęcaniach się niemieckich. A to więzienie zajęli już Sowieci, konkretnie kontrazwiadka "smersz". Pamiętam m.in. taki napis: "Maria Wrona z AK". Nie wiadomo było, czy ona była aresztowana jeszcze za okupacji ~~sowieckiej~~ ^{niemieckiej} czy już przez siły sowieckie.

Później byłem jeszcze w Fawłowicach pod Rybnikiem, Morawskiej Ostrawie w początkach maja. Byłem sądzony trzynastego maja. Był to piękny, majowy dzień. Zostałem wyprowadzony z piwnicy. Byłem sądzony przez tzw. "trojkę". Był to "wojenny trybunał" czterech tobo ukraińskowo fronta. Otrzymałem wtedy tzw. "dietskij wyrok" w owym czasie. Oznaczało to dziecięcy wyrok z porównaniem z moimi współtowarzyszami niedoli: Słowakami, Węgrami, Czechami, Ukraińcami i Rosjanami, którzy dostawali po dwadzieścia pięć lat. Ja, jakoś dziwnie, dostałem wtedy tylko dziesięć lat. To był oczywiście wielki wyrok, ale w porównaniu z innymi nie największy. Spośród więźniów najgorzej było Rosjanom, którzy w śledztwie byli bici najczęściej. Najczęściej ich bito, bo np. ze mną siedzieli ci Rosjanie, którzy byli dywersantami, zrzućani z samolotów na linię pozafrontową, jako np. szpiecy. Więc rzeczywiście Rosjanie byli

na nich wściekli. Byliśmy dość szczęśliwie sądzeni, ponieważ Sowieci byli w pewnej euforii, radości, jako że było to w cztery dni po skończeniu wojny. Był stan podniosły, zadowolenia. Nawet namo dano trochę lepsze, trofiejne jedzenie.

Około piętnastego maja byłem w Raciborzu. Pamiętam, że wtedy Racibórz jeszcze się palił. Płomienie były jeszcze i zgliszcza. I potem po cichu, bardzo po cichu, linią podkarpacką przewieziony zostałem do Lwowa. Całym eszelonem. Może po cichu bardzo jechali, gdyż wtedy na tych terenach działało AK bardzo energicznie. W każdej chwili można było spodziewać się odbicia. Natomiast im bliżej Lwowa, tym silniejsze były oddziały nacjonalistów ukraińskich, Ukraińskiej Powstańczej Armii, i oni z kolei mogli zatakować ten eszelon.

W drodze było paskudnie bardzo, bo przez pięć dni nam nic nie dawali jeść. Dosłownie przez pięć dni chodziliśmy po ścianach z głodu. Byliśmy bardzo osłabieni. Gdy w czasie podróży na postoju wypuszczono nas do ruczaju umyć się, to niektórzy mdleli. Ja nie zemdlałem chociaż czułem się bardzo słaby. Potem, już bliżej, koło Komarna - to jest miejscowość koło Lwowa - nagle otworzyli drzwi i dali nam chleb, sporo chleba i rybę. Kiedy to zjedliśmy, to nam się strasznie chciało pić. Tak, że gdy dotarliśmy na peresylny punkt we Lwowie, Bołtena 45, słynny lagier, piesylny lagier czyli tranzytowy lagier, tu, można powiedzieć - siedziała cała Europa. Tu piliśmy z miski. Podawały nam takie Ukrainki, dziewczęta, pielęgniarki a właściwie siostry. Piliśmy całe miski tej wody. Byliśmy bardzo zmęczeni.

Chcę powiedzieć, że ten peresylny punkt to był bardzo duży łagier. Tam wszyscy, którzy byli sądzeni w Czechosłowacji i na Węgrzech, to wszyscy właśnie byli transportowani do Lwowa. A pier-

wszy łagier w środkowej Europie to był Szopron na Węgrzech. To właśnie tam, w Szopronie, najpierw wszystkich tam kompletowali a potem przewozili do Lwowa. Szopr w Południowych Węgrzech. Na pewno tam były jeszcze inne punkty, inne łagry, ale te, chcę zaznaczyć, były to bardzo duże obozy. Peresylny, tranzytowe łagry na dużą skalę.

Ja siedziałem w łagrach sowieckich, rozmaitego typu przez dziewięć lat. Byłem skazany na lat dziesięć, ale potem, na dalekiej północy ten wyrok był mi zdjęty jeden rok. Na dalnym siewier czyli na dalekiej północy były tam i tylko tam tzw. "zaczoty" czyli zaliczenia: dzień za dzień czy jeszcze więcej. Gdyby nie było oszustw ze strony miejscowej administracji, która pewnych ludzi faworyzowała, a pewnych ludzi pomijała, to może jeszcze pół roku mniej siedział.

Teraz przedstawię swoją drogę. Więc najpierw pracowałem we Lwowie, m.in. na terenie dawnego lotniska szóstego pułku lotniczego na Skniłowie. Potem w związku z tym, że dwudziestego szóstego listopada 1945-go roku z tego właśnie ~~lotniska~~ peresylnego łagru uciekło szesnastu Polaków, przeważnie z centralnej Polski i dwóch Ukraińców kanałami uciekło z obozu. Chyba nikogo wówczas nie złapali. Oni potem jakoś się przerwali do Polski. W grupie tej było sporo inteligentów. Z tym, że ciekawa rzecz, że część z nich popadła do UPA /Ukraińska Półwstańcza Armia/. Ale bardzo korekt ci Ukraińcy się zachowali. Ponieważ tam było trochę fachowców; lekarzy i inżynierów, to nawet prosili, żeby zostać z nimi. Ale oczywiście nikt nie chciał. Ale żadnych kłopotów nie mieli. Potem pisali do nas: "myśmy byli u batka Bandery". Całe to zdarzenie miało miejsce w listopadzie - grudniu 1945-go roku. W pierwszym roku po zakończeniu wojny. I oni nie

złapali nikogo: ani tych Ukraińców ani Polaków.

Natomiast złapali i to po latach tych, którzy z zewnątrz pomagali, którzy zostali we Lwowie z Armią Krajową i tych właśnie poaresztowali. M.in. pan Kiernicki potem ze mną siedział dostał piętnaście lat za pomoc w ucieczce z tego łagru. To była słynna ucieczka i co ciekawe, Polacy tam mieli dość dobrze w tym obozie. Byli raczej na funkcjach, mogli nawet w mundurach chodzić wojskowych. Tam naczelnikiem łagru był kapitan NKWD polskiego pochodzenia - Piotrowski. Tam Polacy nie musieli siedzieć w celach, pod zamknięciem cały czas, tylko byli wypuszczalni np. na jakieś roboty miejscowe w łagrze. Podobno z tego powodu sam Piotrowski miał nieprzyjemności, że Polacy tam mieli dość dobrze. W drodze represji, bo przeważnie dużo Polaków było wtedy, zostaliśmy wywiezieni do miasta Mołotow. Mołotow, to jest za czasów carskich Perm. Między innymi kiedyś tam na zesłaniu był filomata Jan Czeczot, przyjaciel Mickiewicza.

Potem z tego Permu czyli Mołotowa.. ale jeszcze tam pracowaliśmy. Wtedy w Rosji jeszcze nie było "speclagrów" i pracowaliśmy razem z "bytowikami" czyli z pospolitymi przestępcami. Tam nie było podziału na politycznych. Z jednej strony to było nawet lepiej potem, że nas rozdzielili, dlatego że byliśmy wspólnie z całym środowiskiem najgorszym: recydywistów okropnych, gwałcicieli i bandytów. Tylko, że potem był większy reżim polityczny. I ja tam byłem w tym Mołotowie czyli w Permie do 1949-go roku, do kwietnia. I tu ciekawa rzecz: w 1949-tym roku, jak wiadomo powstało Nato. Sowieci spodziewali się widocznie konfliktu zbrojnego ze Stanami Zjednoczonymi i w ogóle z Zachodem. Najwyraźniej pragnęli zabezpieczyć u siebie tyły. W jaki sposób? Postanowili zrobić selekcję tych, których oni uważali za naj-

niebezpieczniejszych dla swojego ustroju. Tych politycznych, groźnych w ich mniemaniu. Tak, że nastąpiła selekcja. I ja popadłem do "specłagru".

Muszę powiedzieć, że niektórzy Polacy zostali nadal z bytowikami. Jeśli ktoś był skazany np. za to, że słuchał radia, to oni uważali, że taki ktoś nie jest aż tak bardzo groźny. I ci Polacy zostali nadal w tych zwykłych łagrach. Ale bardzo mało takich Polaków zostało. M.in. w takich łagrach został mój znajomy, który mi nawet zęby wstawiał we Lwowie jeszcze jako młodzieńcowi - pan Stankiewicz. On został. Został też pan Szuster, radca prawny ze Lwowa. Z tym, że on potem nawet do Polski wrócił. Bo pewna część Polaków została zwolniona z łagrów sowieckich kategorii tej, że starali się wyjść i o których sądzono, że nie są tak groźni. Więc pewną ilość Polaków została wypuszczona z łagrów w 1948-ym roku. Trzy lata po zakończeniu wojny światowej. Ale to była nieduża ilość.

Natomiast mnie i innych Polaków /mówię tu o Polakach, ale tu siedziała cała Europa/, byli tu nawet Japończycy i Chińczycy, I nas skierowali do tzw. "Ozierłagru". Można to rozstrzyfrować jako "osobo zakryty reżimnyj łagier"-Specjalny zamknięty obóz reżimowy. Co do naszych losów nie było pewności. Sami Sowieci, samo NKWD nie wiedziało, co z nami robić w razie konfliktu. Może nawet była i by eksterminacja. Może byłby i drugi Katyń. W każdym razie myśmy około trzech miesięcy w ogóle nie pracowali. Byliśmy tylko w zonie. nigdzie nas do pracy nie wypuszczano poza zonę. Ten łagier, w którym ja byłem, to była niżnaja Udacznaja. Tam, w tej niżnej Udacznej był obóz chyba oficerów japońskich. Sporo tych jeńców japońskich leżało niedaleko od nas na wzgórzach, na Sopkach. nie przeżyli tego. Było to w Tajszeckim rejo-

nie.najbliższe miasteczko,takie większe - Kwitok.W miejscowości Kwitok było dużo Sybiraków,którzy byli wywożeni nie do obozów, a na zesłanie - administratywną zsyłkę -w roku 1940-tym i 1941-ym.

Wyładowano nas na stacji Kwitok i na piechotę przeszliśmy do niższej Udacznoj.Niedaleko też była Wierchniaja Udacznaja, ale sam obóz był w niższej Udacznej.

Jak już mówiłem,z początku nie było żadnych dyrektyw co do naszych losów.

A jeszcze chciałem tu wspomnieć, że w tym Kwitku później przywozili Litwinów.W 1940-tym przywozili Polaków, a bliżej lat pięćdziesiątych przywozili Litwinów na "spaczsyłkę".Sporo tych Litwinów tam było,tylko nie mieliśmy z nimi kontaktu, bo kto był w obozie to kontaktów nie miał.

Ja tam pracowałem,w tym Tajszeckim rejonie,właśnie w tej miejscowości Niżnaja Udacznaja.Potem byłem w łagrze Nowaja Cunka.Mieścił się ón głęboko w tajdze.Nowaja Cunka-Wszytkin-skiej rajon.Tam pracowałem w Dierewo obdiełocznyj Kambinat,to po prostu tartak.A w sąsiednich tartakach,łagrach pracujących na potrzeby lasu,na potrzeby gospodarki drzewnej - pracowały dziewczyny,więźniarki.Bo przedtem,do roku 1949-go to myśmy byli razem :kobiety i mężczyźni.A tu w speclagrach w "ozierłagu" mężczyźni byli całkowicie oddzieleni i nie mieli żadnych kontaktów.Pisanie listów było zabronione.nie mogłem napisać ani jednego listu.Byliśmy po prostu odcięci od świata.Żadnej korespondencji.Jakby ludzie już umarli.Kompletnie.Zginęliśmy dla świata.

W sąsiednich łagrach pracowały właśnie kobiety,m.in.dużo dziewczyn z AK,no i Rosjanki oczywiście.Tu chciałem taką ciekawostkę podać, że DOK-4,był taki łagier /kombinat drzewny nr 4/

tam właśnie, w tym łagrze pracowała słynna pieśniarka radziecka - Rosłanowa. Ludmiła Rosłanowa była w tym obozie. I miała nawet przyjechać do nas na koncert w ramach takiej wymiany. Bo trzeba przyznać, że w obozie była tzw. "kulturalno-wspitalnaja czast" czyli dział kulturalno wychowawczy. Nie we wszystkich obozach, ale były. Tak więc ona w ramach takiej wymiany, aby tych więźniów trochę podbudować duchowo, to miała przyjechać. Ale nie przyjechała.

W "ozierłagu" było masę obozów, najgorsze chwile nastąpiły w momencie wybuchu wojny koreańskiej. Było to w roku 1950-tym. Wtedy znacznie zaostrzył się reżim. Można powiedzieć, że pewnego rodzaju nawet terror został wprowadzony, żeby zastraszyć więźniów. Wtedy to zastrzelili mojego kolegę - Jozasa Czesnawicziusa - Litwina, który podobno w czasie pracy na wąskotorowej kolejce, pod oddzielnym konwojem /razem z nim byłem/, o parę metrów ode mnie został rozstrzelany. Prawdopodobnie przeszedł chorągiewkę, kóra oznaczała, że zaczyna się "zapresnaja zona". Podobno to przekroczył, to i konwój strzelał do niego. I został rażony z automatu. Nawet nie mogliśmy do tyłu popatrzeć. Zostaliśmy rzućni na ziemię, bo była komanda "łożys" /padnij/. No i przywarliśmy do progów kolejowych, bo tu pracowaliśmy - do tej gliny i do tego piasku. Myśleliśmy: Katyń się powtarza, bo potylicą do tyłu. Ale tak przeleżeliśmy tylko chwilę, bo znowu padła komanda "padni-majs". Posiedzieliśmy pod konwojem, zupełnie oddzielnie. I tu taka ironia, cynizm - można powiedzieć - przyszedł jakiś dyżurny, kapitan z czerwoną opaską i powiedział: i czto, mużiki, nie chaitie żyt? Zrobił tu aluzję, że przekraczamy zonę i nie chcemy żyć. Oczywiście to było napewno kłamstwo, dlatego że za parę dni znowu został zastrzelony mój znajomy - Chińczyk.

To było tak, że pozwolił mu konwój wejść na prosiekę, to zna-

czy tam, gdzie było wyrąbanej kawałek lasu, gdzie stały te wyżki, tzw. "ambony", żeby przypalić, niby papierosa, bo ten Chińczyk chciał zapalić. Konwój się zgodził. A z sąsiedniej wyżki padł ogień. I Chińczyk zginął. Został trafiony w brzuch serią i zginął.

Był to najgorszy okres, ta wojna koreańska. Potem ta wojna wygasła. Aż dopiero w 1953-cim roku, to trzy lata trwało, ta wojna.

Dwudziestego piątego maja właśnie został zabity ten mój kolega Czesnawiczjus Jozas - to był dwudziesty piąty maja 1951-go roku. Zaraz, w końcu lipca, w dwa miesiące, zostaliśmy - ci tacy bardziej zdrowi więźniowie - to były coś taka selekcja "Chata wuja Toma", gdy wybierano Murzynów sprawdzając nawet uzębienie i wszystko, brali przede wszystkim tych, którzy nie mieli żadnych uszczerbków w jamie ustnej, dobrze się prezentowali, zdrowi chociaż chudzi, ale jeszcze rokujący nadzieję na pracę. Bo starszych to w ogóle nie brali, i powędrowaliśmy na Kołymę, słynną krainę śmierci. Był to Chabarowski kraj, a później to było połączone jako Jakucka Awtonomiaja Republika.

Tam jechaliśmy pociągiem 4 eszelonem. Jechaliśmy w stronę Komsomolska na Amurze. W Komsomolsku na Amurze nie ma mostu, to przeprawiano pociąg jakoś w ten sposób, że poszczególne wagony przestawiano na prom. Potem ten cały zestaw połączyli i w dalszym ciągu jechaliśmy do Buchty Nachodka, zatoka Wanino. Tam bliżej Sowiecka Gawań jest, potem jest Buchta Nachodka. W zatoce Wanino zostaliśmy tam zaokrętowani na statek "Mińsk". To podobno był statek, który przedtem należał do łotewskiej floty. Nazywał się wtedy "Prince Coburg" czy coś takiego. On właśnie stale kursował właśnie między Zatoką Wanino. Przewoził właśnie więźniów głównie a Magadan, słynny Magadan. Są słynne pieśni o Magadanie.

Pomni⁴ a Wanino port

i ~~gólką~~ parachoda ugriumyj
Kogda iszli my
po trapu na bort
w Chałodnyje, mracznyje truimy

Tosłynna piosenka łagrowa:

Pamiętam ja port Wanino
i ryk syren parostatku smutny/przygnębiający/
kiedy wchodziliśmy
po trapie ~~na~~ pokład /burte/
w chłodne, mroczne pokłady.

Bo tam rzeczywiście trzeba było wchodzić po trapie i na pokład z tym, że nie jechało się na górnym pokładzie. Bynajmniej. Do Magadanu jechało się kilka dni, chyba cztery dni się jechało. Byliśmy w dolnych triumach /niżnyj trium/ to znaczy jakby zupełnie pod podłogą zupełnie. Tam stały beczki, do których załatwiała się potrzeby fizjologiczne. Beczki były pełne. Dwóch silniejszych gości brało tę beczkę, na kiju i do morza wylewało te nieczystości. W czasie tej podróży dużo kolegów chorowało na morską chorobę. ~~Ja~~ Ja muszę przyznać - o dziwo - nie chorowałem. Byłem jednym z tych, na którym to w ogóle nie zrobiło wrażenia ta podróż okrętem. Inni wymiotowali bardzo. Normalna choroba morska. Ja nawet miałem apetyt i zjadałem te wszystkie porcje, których moi koledzy nie zjadali. Opsza między innymi była, makaron, jak dzisiaj pamiętam. Z mięsem nawet, jakoś nienajgorzej karmili.

Tam mogło dojść do przykrych historii, ponieważ w części tych dolnych pokładów oprócz tych więźniów politycznych byli transportowani na Kołymę więźniowie pospolici najgorszego autoramentu. I nawet do nas jako do faszystów chcieli się przebić podobno. No tam były dantejskie sceny, warte pióra czy pędzla malarza. Bo na przykład bardzo nieregularnie były wynoszone te nieczys-

tości, duchota niesamowita. Wielu było rozebranych. I kiedyś przyszedł naczelnik konwoju, nie pamiętam - kapitan czy ktoś - i tak popatrzył w dół. Bo wtedy był taki bunt: zaczęliśmy krzyczeć, aby wynoszono te parasze z tymi ekstrementami. A dłuższy czas tego nie było, nie chcieli tego robić i był straszny smród. Kiedy przyszedł kapitan, wzniesiliśmy pięści: szto wy diełajetie /po rosyjsku/, szto wy diełajetie: szto zdieś? Dachau ili Osiwntim? Co wy robicie? Czy to jest Dachau czy Oświęcim? Jak gdyby się zawstydził naczelnik tego transportu więźniów politycznych i bytowików. Odczułem to tak, bo on spuścił jakby głowę i zaraz potem kazał powynosić te parasze, wszystko zmyć. Tak że widać, że jakieś wrażenie to zrobiło.

I myśmy trafili do mety na dziewiętnastego sierpnia. Jak na północ był to bardzo ciepły dzień. A ponieważ myśmy byli tam załadowani w tych "tiegogrejkach" i rozmaitych buszułatach więziennych - na tych buszułatach spaliśmy - jak szliśmy do miasta Magadan, po drodze, to prawie wszyscy rzucili te swoje ubrania. I został taki olbrzymi zwał został tych ubrań. Od portu aż do łagru.

Tu chcę powiedzieć, że miasto Magadan to było ciekawe miasto. To było miasto więźniów, ale chyba o najlepszej kondycji w całym Związku Radzieckim. Jak to rozumieć? Mianowicie tam cała ludność miejscowa to byli dawni więźniowie i byli dobrze usposobieni do więźniów. Jako, że taki sam los mieli. Jak odbyli wyroki, to tam im nie najgorzej się powodziło. Bo tam była strefa dobrych zarobków i tam, na północy nawet xhodowano świnie i mieli stosunkowo dobre mieszkania. Ale zawsze tam było takie poczucie więzi z tymi byłymi więźniami. Tam było najlepiej.

I konwój się nawet do tego dostosował. Tam był jeden z najlepszych konwojów - można powiedzieć. Żeby tu nie popełnić pewnego

błądu. Ja byłem tam w 1951-ym roku. To jednak dużo się już zmieniło. To były ostatnie dwa lata rządów Stalina. Ale tam podobno potworne rzeczy się działy w 1937-ym i ósmym. Tam dopiero były początki tamtych łagrów. Tam masa ludzi po dzień dzisiejszy leży tylko z tym numerem więziennym. Tam terror był straszny wtedy. Okropna masa ludzi wtedy tam wymarła. Panował głód i nieznośne warunki.

W 1951-ym roku już było trochę lepiej. Jeśli chodzi o ludność miejscową, to była to ludność bardzo dobra. Tak, że gdy jednej soboty braliśmy udział w "subotniku" to znaczy więźniowie byli przeznaczeni do jakiejś pracy na giełdzie leśnej, żeby to w ramach dodatkowej roboty w sobotę dla danego przedsiębiorstwa, które nas wyhajęło; to nie raz to opowiadam, jak jedna damulka przeskoczyły i miała w smuce czyli w teczce miała cukier w głowach, tzw. "sachar - rafinad", miała chleb, a nawet ogórki i naszą całą brygadę poczęstowała. Najpierw zapytała naczelnika konwoju, który był sierżantem: tawariszcz sierżant, ja mogu czto niebut rebiatam pieredat? /czy ja mogę chłopcom tutaj coś dać?/ do zjedzenia. Konwój się zgodził, bo tu jak powiedziałem - konwój trochę też się liczył. Tam było trochę inne nastawienie, tam nie było takiego reżimu, szczególnie w mieście Magadan. Bo już na prowincji było gorzej.

Ona nam podarowała tę sumkę z tym jedzeniem. Tam nawet sporo tego było. Ale potem jak zjedliśmy do tej damulki właśnie krzyczymy: graždanka - to znaczy obywatelko - wy astawili swaju sumku. A ona na to: nie nada rebiata, astawtie dla siebia. Nawet i tej torby nie zabrała i dla nas zostawiła. To zdarzenie bardzo często wspominam, te momenty bardziej ujmujące.

Bo trzeba powiedzieć, że Rosjanie jako naród jest stosunkowo niezłym narodem. No, ale ten potworny system to wszystko tak zmie-

nił i też zepsuł ten naród na ogół bogoboyny.

Jak mówiłem dziewiętnastego sierpnia 1951-ym roku .Później jeszcze kilka tygodni jeszcze byłem w Magadanie na takich rozmaitych robotach.Tam specjalnie byliśmy zatrudnieni.

W Magadanie otrzymaliśmy po raz pierwszy podczas bytności w łagrach sowieckich - wszystko spod igły.Nowe - oczywiście robocze ubrania,ale spod igły.Zupełnie nowe.Ale koledzy niedługo cieszyli się tymi tiałogrejkami czy briukami czyli spodniami, bo wszystko,aby mieć chleb,to wszystko zmienili na gorsze. Tiałogrejka była zwana również Hufajką - to jest taka kurtka tylko watowana.

Dużo z nas zostało odrazu przetrzucanych do innej zony,bo myśmy byli tak zwana "kwarantinnaja zona" czyli zona,w której przeprowadzane kwarantannę.A również w tym peresylnym obozie w Magadanie byli ci,którzy byli w obsłudze,dłuższy czas byli zatrzymani przez parę miesięcy w Magadanie.I oni nam dawali jedzenie i zabierali od nas lepsze rzeczy a dawali na zmianę/na zmienku/ dawali gorsze.Tak, że niedługo byliśmy ubrani w te dobre ubrania.

Potem z Magadanu ja dostałem się do potwornych miejsc pracy. Józef Gębski,reporter,jakieś dwa lata temu niecałe,był potem w tych miejscach naszego pobytu.Tamtejsza "pamięć" i "Memoriał" wyrobił to, że on był w tych miejscach.To jest Kucugan i Butugeczag.O ile dobrze wiem,to po jakucku Kucugan znaczy Dolina diabła /lub Dolina śmierci/ a Butugeczag - Dolina diabła.Albo odwrotnie.Coś w każdym bądź razie w tych nazwach jest.

Więc jeszcze raz powtarzam miejscowości:Kucugan i Butugeczag. Kucugan pracowała na rzecz kopalni ^{URANU} welframu.Bardzo niedobre miejsce dlatego, że występowały tam związki ołowiu.I tam masa kolegów już na całe życie dostało tę porcję.Bo tam jest między innymi też

i porcja radioaktywna ołowiu i uranu. I zapylone płuca. Ja też, po dzień dzisiejszy odczuwam, tylko że w mniejszym stopniu, bo krótko pracowałem - bo miałem szczęście - zaraz opowiem dlaczego krótko pracowałem - w Kucuganie. A potem cała praca, inna, np. w elektrowni obok, to właśnie była na Butugeczagu. Są to miejsca spośród łagrów sowieckich, które po dziś dzień zachowały się. Takich miejsc dużo nie ma. Dlatego, że tu nie były drewniane baraki jak na przykład w Tajszecie, tylko to było murowane. I dlatego jeszcze stoją te fragmenty. Właśnie wspomniany już Józef Gębski to wszystko widział.

Ja między innymi opowiadałem o tych przeżyciach w telewizji. Bo tam był taki program: "Archipelag Gułag" był nagrany. M.in. i moja była nagrana wypowiedź. Ale były nagrane prawie wyłącznie z Kucuganu i Butugeczagu na Kołymie. Bo to najbardziej interesowało pana Gębskiego.

Muszę dodać, że w Butugeczagu była również taka fabryka f^lotacyjna to znaczy przerobu tego wolframu, który potem w workach był samolotami stamtąd odstawiany do jakichś potrzeb.

Chcę tu przeprosić, bo popełniłem pewną gafę, to znaczy tam była kopalnia uranu. Przepraszam. Już dzisiaj mi się to trochę myli. Byłem w Alaskitowej to później byłem na Alaskitej, gdzie skończyłem swój wyrok. To właśnie tam była kopalnia wolframu. Natomiast Butugeczag i Kucugan pracowały dla potrzeb: jak powiadam - Kucugan to była kopalnia uranu. Było to wysoko na sopce, taki księżycowy krajobraz. Natomiast w Butugeczagu to była fabryka f^lotacyjna uranu.

Powstający przy tej produkcji pylica po rosyjsku nazywa się "silikoś". Wielu moich kolegów zmarło niedługo po powrocie do Polski w 1955-tym roku. Jeszcze parę lat pożyli, ale cały czas mieli kłopoty z płucami. Ja też mam te kłopoty. Mam, ale nie w takim stop-

niu. Ja, jeśli chodzi o Butugeczag, to pracowałem tylko na fabryce. Nie pracowałem natomiast w kopalni uranu. I to może właśnie mnie dlatego - w Kucuganie nie pracowałem - i dlatego może właśnie to mnie uratowało.

Stamtąd do takiego Łagru D-2 zostaliśmy przewiezieni. Tam znowu kopaliśmy tak zwane kotłowny czyli rowy rozmaite, transzeje tak zwane po rosyjsku, pod budowę przyszłej elektrowni. Ja tam długo nie byłem.

I ostatnie miejsce mego wyroku to był apsiółek Alaskitowyj, osiedle Alaskitowej, znajdujące się dokładnie w odległości 1120 km od Magadanu na północ. Już bliżej koła podbiegunowego. Więc tutaj te miejscowości to dopiero po wojnie zostały zagospodarowane. Przed drugą wojną światową tam jeszcze nic nie było. Tam była dziewicza tundra i taka bardzo słaba tajga. Były tam takie "suchostoje" - suche drzewa. Było to bowiem na dalekiej północy zupełnie.

Na Alaskitowej - jak już powiedziałem - pracowałem w kopalni wolframu. Tam miałem wypadek. Miałem sękanerowaną rękę, bo kamień spadł z bloku. Po dziś dzień nie mam paznokcia w jednym miejscu. W ogóle całe ciało, mogę powiedzieć, że nie ma miejsca prawie: jak nie jakiś uderzenie to cynga męczyła /szkorbut/. Tak że wszędzie mam te pozostałości po tym gnilnym skorbutcie. Brak witamin. Ale tak na ogół jeszcze wtedy nie wiedziałem, że ja tę porcję schwyciłem, tego wolframu, tego pyłu. Bo tam się w masce pracowało, tzw. "respirator". I tam ja najwięcej chwyciłem tego pyłu. Bo ja nie pracowałem przy ... jako borylszczyk, to znaczy nie pracowałem przy świdrowaniu w kopalni tylko jako tzw. odkratczyk, odwoziłem urobek w takich wagonetkach. Ale jeszcze gorzej dlatego, że będąc w biegu wchłaniałem jeszcze intensywniej ten wolfram. Ten pył po wolframie w tych blokach to się tak odkładał, że tego były całe

masy. Tak że jak swego czasu ,jak jeden z więźniów- Łotysz - Walters jakoś nieostrożnie otworzył ten luk, w którym się gromadziły te pyły w wyrobiskach, to został zasypany całkowicie. I zginął na miejscu zasypany przez pył. Walters, Łotysz. Tak więc były i takie wypadki.

Tam się pracowało z taką lampą górniczą. Była to tak zwana "łobowaja" lampa bo nakładana na głowę, zasilana przez akumulator.

I ja tam skończyłem wyrok. Wyrok skończyłem w rok, można powiedzieć, równo po śmierci Stalina. Bo jak wiadomo, Stalin zmarł w 1953-cim czwartego czy piątego marca. To ja zostałem uwolniony czternastego marca 1954-go roku. Z tym jednak, że 14-go marca to była niedziela i odbywały się wybory do Rady Najwyższej czyli do Wierchownowo Sowjeta SSR. NKWD nie miało czasu i ja jeszcze te trzy dni czy cztery przesiedziałem dłużej.

Tu trzeba powiedzieć, że po śmierci Josifa Wissarionowicza Stalina - naszego drogiego batki - terror rzeczywiście zelżał. To znaczy, że zaczęły dochodzić głosy, że przeglądane są sprawy. Był to tak zwany "pieresmotr dieł". To znaczy przegląd spraw. I tu i ówdzie ktoś, szczególnie z Rosjan, z trockistów tak zwanych, którzy mieli po piętnaście, a nawet po dwadzieścia lat, jako młodzieńcy przyszli do obozów a byli już starikami. Ich sprawy zaczęto przeglądać.

Z tych trockistów niektórzy dostali bardzo duże odszkodowania. Uważano, że niesłusznie byli skazani. A później - ja wyszedłem w 1954-tym roku, jak powiedziałem - w marcu. Byłem na tzw. "speczsyłce". I w 1954-tym roku jesienią, jak wiadomo Adenauer był w Moskwie. Z tego powodu pierwsi opuścili te łagry Niemcy. Bo trzeba wziąć pod uwagę to, że w łagrach większość Niemców siedziała jako "wojennoplennyje". Jako jeńcy. Nie wszyscy o tym wiedzą. Ale wielu

tych wojennoplennych czyli jeńców wojennych za byle jakieś głupstwo, zostały im wyroki dawane. I tak na przykład na Kołymie ja siedziałem z kapitanem dawnym Wehrmachtu, bardzo sympatyczny gość - razem pchaliśmy jedną wagonetkę nr dwanaście pchaliśmy na zmianę, przez pewien czas.

Więc w czerwcu 1955-go roku, dokładnie na Jana, był tak zwany pieresmotr akt. Była to taka ankieta sporządzona przez NKWD dla Polaków, którzy chcieli i którzy mieli wrócić do ojczyzny. Do Polski. I ja musiałem wtedy z tej miejscowości Alaskitowij około sto dwadzieścia kilometrów do miejscowości Ust'-nera. To miasto jest stolicą ojmiakowskiego rejonu. Ojmiakon był znany jako biegun zimna na kuli ziemskiej. Wcześniej takim biegunem było miasto Wierchojańsj nad rzekę Janą.

Następnie czekaliśmy na wyniki tej ankiety, tego aprosusu i to dość długo. Bo dopiero efekty były w listopadzie 1955-go roku. Chyba siedemnastego czy dziewiętnastego listopada ja zostałem wezwany po to, aby się rozliczyć w kadrach osiedla tego górniczego i gdzie również była fabryka frotacyjna. Zostałem rozliczony i miałem trochę oszczędności, więc pobrałem z kasy i przypadkowym samochodem w silny mróz odbywałem wyjazd do Ust'-Nery, gdzie była koncentracja wszystkich miejscowych Polaków tych, którzy tam wówczas przebywali.

Jednak, oczywiście ankieta nie dała efektów dla wszystkich. Jeszcze dużo wówczas Polaków zostało tam. Nie było jeszcze wówczas decyzji o powrocie do Polski. Tak że niektórzy wracali do Polski dopiero w roku 1957-mym i 1958-mym nawet.

A mnie jakoś szczęśliwie jakoś ta repatriacja objęła już w listopadzie 1955-go roku. Byłem szczęśliwy. Bo już będąc w Polsce jeszcze utrzymywałem korespondencję z tymi Polakami i z tymi przyjaciółmi z Armii Krajowej, którzy jeszcze na Kołymie przez pewien

czas pozostawali.

Po koncentracji naszych wszystkich współziomków, po koncentracji Polaków tamtejszych w miejscowości Ust'-nera czekaliśmy na odprawę samolotem. Ale trochę się przedłużyło - zdaje się czy o dzień czy o dwa ta jazda samolotem z uwagi na bardzo złą pogodę.

Jechaliśmy samolotem po trasie: Jakuck - Irkuck, do Irkucka. To znaczy, że przesiadka była na inny samolot w Jakucku do Irkucka. Jeszcze po dzień dzisiejszy pozostał mi nawet bilet z tych linii lotniczych radzieckich, którymi odbyłem tę trasę: Ust'-nera, i Irkuck z przesiadką w Jakucku.

W Irkucku już było bardzo dużo Polaków. Zamieszkaliśmy tę jedną noc niedaleko od cerkwi, pamiętam, w Irkucku, na terenie stadionu Dynama w Irkucku. Tam też było trochę Węgrów, gdyż repatriacja obejmowała też obok Polaków też Węgrów. Między innymi był też Węgier, który ożenił się z Polką, z Lwowianką.

Następnie zostaliśmy przewiezieni samochodami do miejscowości chyba Karkaz niedalego od Irkucka. I tam byliśmy ładowani do wagonów. Bo tam był specjalny eszelon przeznaczony specjalnie tylko dla polskich repatriantów.

Tu muszę zaznaczyć, że tę podróż samolotem, odbyło szesnastu Polaków. W tym samolocie było. Ale to wszystko byli przeważnie kawalerowie, ludzie wolnego stanu jeszcze. Natomiast w Irkucku i w pobliskich miejscowościach było bardzo dużo zesłańców z tak zwanej spec-zsyłki. Były tam całe, wywiezione i przebywały całe rodziny. I na stacji w Karkazie, ja poznałem moją przyszłą małżonkę. Gdy wszedłem do wagonu i po raz pierwszy rzuciłem okiem i poznałem moją przyszłą żonę.

Ci Polacy, te rodziny, które zostały wywiezione z Białorusi, z Liwy, z Ukrainy, to były przeważnie rodziny, z których przynaj-

mniej jeden z członków był w drugim Korpusie Armii Andersa. Ci, którzy byli w Anglii i zdecydowali się przyjechać. Tak na przykład mój teść, liczył się, że może trafić na Syberię. I tak rzeczywiście się stało.

Mój teść wrócił na Białoruś w okolice Lidy w roku 1948-ym. Nazywał się Pior Lichwierowicz - żołnierz Drugiego Korpusu armii generała Andersa. Między innymi brał udział w bitwie pod Monte Cassino i Pidimonte, a następnie przeszedł szlak do Ankony i Bolonii. Już obecnie, od 1962-go roku nie żyje.

I tutaj trzeba powiedzieć, że były to ciężkie przeżycia dla tych Polaków, którzy decydowali się zza granicy powrócić. Poszli nawet do ambasady sowieckiej w Londynie i wyrazili chęć powrotu do swoich rodzin, bo stęsknili się za swoimi rodzinami. Ale, jak na przykład mój teść mówił: jestem przekonany, że mnie pośadzicie, ale nie mam wyjścia, tęsknię za rodziną, chcę wracać do miejsca swojego pobytu, do swojej rodziny. Chociaż wiem, że będę represjonowany. Jeden z członków ambasady powiedział: ależ skąd, towarzyszu, nic wam się nie stanie, włos z głowy nie spadnie. Wracajcie i wszystko w porządku.

Teść wrócił okrętem do Libawy na Łotwie, a stamtąd już jechał w stronę Lidy. Rzeczywiście, pobył tylko około trzech lat i został przetransportowany z całą rodziną na Syberię.

A więc tam koncentrowaliśmy się w pobliżu Irkucka, w miejscowości Karkaz. I zaczęła się podróż powrotna do Polski, chyba drugiego grudnia 1955-go roku. Był to jeden z pierwszych eszelonów, jakie wówczas wracały do Polski w ramach repatriacji. Chyba tylko jeden czy dwa było od nas wcześniejszych. Szczęśliwcy ci wracali. Ci zesłani po tak zwanej Spec-zsyłce i pozostający "pod opieką" speckomendantury, to przeważnie wrócili wszyscy do Polski.

Repatriacja wówczas dotyczyła Polaków z terytoriów Polski do

roku 1939-go. A więc i naszych kresów wschodnich. I dotyczyła jeszcze oprócz Polaków tylko Żydów polskich. Żydzi Polscy też wówczas mieli prawo do repatriacji. I nieduże grupy tych Żydów wracały i były nieliczne. W naszym eszelonie ich było niedużo. To były tylko jednostki. Ale mieli prawo powrotu do kraju.

Odbyliśmy długą podróż. Dopiero przed samym Bożym Narodzeniem jadąc przez cały Związek Radziecki - można powiedzieć - wróciliśmy do kraju. Przekroczyliśmy granicę od strony Mościsk /Mościska jeszcze na terytorium Rosji/ do Polski do miejscowości Żurawica /koło Przemyśla/, gdzie przed wojną stacjonował pułk pancerny. W Żurawicy. Granicę przekroczyliśmy z siedemnastego na osiemnasty grudnia, a więc tuż przed samym Bożym Narodzeniem.

Następnie byliśmy w punkcie repatriacyjnym w Sanoku, gdzie zostaliśmy przywitani bardzo przyjemnie, bardzo serdecznie przyjęci przez miejscową ludność, która przez okna wagonu patrzyła, jak mamy taki czarny chleb. No, ten chleb jeszcze nie był stosunkowo taki zły. Ale robił niezbyt budujące wrażenie na mieszkańcach Sanoka, wśród których też było sporo Polaków z Kresów Wschodnich.

na Boże narodzenie rodziny sanockie brały repatriantów na Wigilię i na Boże Narodzenie do swoich domów, żeby repatrianci mogli z nimi wspólnie spędzić święta.

No a potem zaczęła się wędrówka po Polsce. Dostaliśmy darmowe bilety do przemieszczania się po Polsce. Były to bilety PKP. I każdy szukał miejsca, gdzieś u najbliższej rodziny, która była już w Polsce wcześniej, czy u znajomych. A niektórzy byli samotni. Bo jak miałem na przykład kolegę Józka Romejkę - z Wileńskiej Brygady AK - którego matka pozostała koło Wilna a ojciec był już dawno w Argentynie, Ja go wziąłem na razie do siebie, do swojej rodziny do siostry we Wrocławiu.

I tu, we Wrocławiu, zaczęliśmy życie. On potem w PAFAWAGU pra-

cował cały czas. A ja też byłem na Dolnym Śląsku, a jeszcze wcześniej - można powiedzieć - w powiecie gliwickim, gdzie pracowałem jako magazynier w Państwowych Gospodarstwach Rolnych.

I tak zaczęło się nasze życie w Ojczyźnie.

==== ===== ===== ===== ===== ===== ===== =====

Chciałem jeszcze opowiedzieć o mojej twórczości literackiej, związanej z pobytem w łagrach sowieckich. Jest ona niezbyt duża. Ja cały czas po powrocie do Polski pisałem nowele, pisałem wiersze, wspomnienia, które miałem nadzieję gdzieś wydać. Nawet próbowałem to robić. Ale wiadomo, jakie to były czasy cenzury, że wystarczyło do redakcji dać jakiś temat dotyczący Syberii. Już znalazło się wiadomo w jakich organach i jeszcze można było mieć wielkie nieprzyjemności.

Zacząłem starać się przekazać te różne materiały, szczególnie wiersze, dopiero po odwilży w 1956-tym roku w październiku. Wtedy nastąpiła odwilż za Chruszczowa. Wtedy właśnie w Rosji został zwolniony Sołżenicyn. Dużo ludzi z łagrów mogło pisać swoje wspomnienia na tej fali.

Wówczas ja napisałem do "Nowej Wsi" "Śmierć olimpijczyka". Była to nowela, utwór, który po dzień dzisiejszy nie ukazał się w prasie ani w wydawnictwie. Już mieli to drukować, ale jakoś widocznie zabroniono. Ale nadal pisałem.

Dopiero gdy nastąpiła ta druga odwilż - gdzieś około roku 1988-go, 1989-go - wtedy mi udało się: przekazałem niektóre moje wspomnienia i materiały do białostockiej "Gazety Współczesnej". Tam właśnie ukazało się kilka takich pozycji. Poza tym pojawiła się ta szansa, że powstał "Sybirak" białostocki, organ Związku Sybiraków, na całą Polskę zresztą. I ja tu pplasowałem parę swoich

wierszy i dalsze szykuję.

Może bym i więcej napisał o sprawach syberyjskich, ale mi tu idzie w parady moja twórczość satyryczna: aforystyka, fraszki i z tego względu może i trochę zaniedbałem tę twórczość poświęconą łagrom sowieckim. Ale jak zdrowie dopisze i siły, to będę starał się to wynagrodzić i bądź do "Sybiraka" bądź do innych gazet

jeszcze mam przygotowane wiersze. Ciekawe wiersze. I te będę starał się uplasować.

Notował: S. Sianko.